Nr. 32.

Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 31. Stycznia 1897.

Z bieżącej chwili.

Lwów d. 30. stycznia.

Norddeutsche Allg. Ztg. zamieszcza prawdopodobnie inspirowaną korespondencyę z Wiednia, w której wyjaśniony jest powód zamknięcia zakończonej co Rady państwa bez mowy tronowej. Czytamy tam mianowicie: Gdy niedawno rozwiązany został węgierski parlament, uczyniono to mową od tronu, pełną polotu, a i nową sesyę węgierską otwarto mową tronową, zawierającą program prac izbowych. Austryacki rząd natomiast umyślnie zaniechał głośnej ceremonii podczas ostatniego posiedzenia Rady państwa, bo w jej działalności ustawodawczej obecni kierownicy rządu brali udział tylko przez krótki czas, a z tem, co Rada państwa zdziałała w dawnych sesyach, nie chcieli i nie mogli mieć nic wspólnego. W dodatku hr. Badeni chciał mieć i na przyszłość ręce rozwiązane i dla tego nie chciał się do niczego zobowiązywać. Rozważał i to, że niewiadomo, co przyniosą wybory i jaką większość będzie miał rząd w nowej Izbie do rozporządzenia. Rząd uważać chciał poprostu ostatni okres Rady państwa za krótki epizod w dziejach swojej polityki, za epizod, o którym chciałby jak najrychlej zapomnieć. Ugodę z Węgrami, którą wedle programu miała przeprowadzić jeszcze dawna Izba, trzeba było odłożyć na późniejsze czasy, a i dziś jeszcze istnieją w tej sprawie różnice w zapatrywaniach, które dopiero trzeba będzie później usuwać. O ważnej tej sprawie nie można by było zamilczeć w mowie od tronu, to też nie popełni wielkiego błędu ten, kto będzie uważał niezałatwioną ugodę z Węgrami za główny powód do zaniechania mowy od tronu. W najbliższej przyszłości będą się musieli jeszcze często ministrowie naradzać nad usunięciem różnych trudności ugodowych, a zależeć to będzie dopiero od składu no- [illegible]

[illegible] ną i dla nierozważnych konceptów panslawistycznej partyi wojennej przystępną. Muszą tedy Niemcy ze swoją potęgą wojskową stać na placu i orężem zmusić oręż do pozostania w pochwie.

Jest prawie niepodobieństwem, aby czasopisma tak poważne bawiły się tylko w plotkę senzacyjną, podnosząc słabość czy słabowitość cara. Jeżeli to nie plotka, ale prawda, to naturalnie cała polityka europejska, której jeśli nie głównym, to jednym z głównych, decydujących czynników jest Rosya, więc car, popadłaby w niepewność nieobliczalną, jakkolwiek z drugiej znowu strony wiadomo, że ludzie chorzy nieraz tem dzielniejizą rozwijają energię, i walcząc z chorobą, długiego dożywają wieku. Ale narazie zawsze góruje niepewność. Przy poprzednich pogłoskach mówiono, że sprawy wojskowe poruczyłby car staremu w. ks. Michałowi, cywilne Pobiedonoscewowi, a wszystkiem rządziłaby carowa wdowa. Dla sprawy pokoju powszechnego nie byłoby takie zarządzenie zbyt groźnem car bowiem żyw pozostanie, a jest on zdeklarowanym miłośnikiem pokoju, carowa wdowa zaś kierowałaby sprawami w duchu nieboszczyka cara, a więc w duchu już nawskróś pokojowym. Tak przynajmniej powiada loika.

Wedle telegramów hrabia **Murawiew** przybyć ma dziś rano do **Berlina**, i dzisiaj daje ambasador rosyjski na jego cześć obiad, jutro zapewne da kanclerz Hohenlohe śniadanie, z którego Murawiew wprost uda się do cesarza Wilhelma do Kielu.

Jak się okazuje, hr. **Murawiewa** nie przyjmowano w **Paryżu** na dworcu kolejowym tak serdecznie, jak to pierwsze telegramy głosiły. Dzienniki bulwarowe zapowiadały nowy wybuch entuzyazmu dla Rosyi; tymczasem gdy Murawiew przybył do pałacu Elizejskiego (urzędowe mieszkanie prezydenta republiki) zaledwo tuzin ciekawych się zebrał. Murawiew przedstawił się Faurowi nie w gali, tylko [illegible]

KORESPONDENCYE.

Paryż d. 20. stycznia.

(Żydowskie majątki. — Znudzeni pieniądzmi. — Prawdziwa filantropia. — Dokuczliwe przepisy.)

Wielka kupa złota zawsze olśni tłumy. [illegible]

[illegible] gdy jaki chudopachołek ma trochę grosza dostać.

Aby kilka marnych tysięcy przeznaczyć na sieroty lub kaleki, trzeba zadość uczynić tylu formalnościom, tyle trudności przezwyciężyć, że na dziesięć w dziewięciu wypadkach sprawa się nie udaje, zwłaszcza wtedy, kiedy zakładem dobroczynnym kierują duchowni.

Niedawno z radością wynaleźli sędziowie prawo, które pomogło im do zakazu, aby paryscy proboszczowie nie dostali każdy po sumie 60.000 franków, zapisanej na dobroczynne cele. I wobec tego są ludzie, którzy się skarżą, że oblężeni przez biednych proboszczowie nie mogą wytępić nędzy! Codziennie skarżą się dzienniki, że młodzież się psuje, i że olbrzymia liczba sierót i opuszczonych dzieci fizycznie i moralnie ginie, równocześnie zaś nie ganią, a przeciwnie nawet pochwalają prawo, nakładające podwójny i potrójny podatek na zakłady poprawne, domy sierót i wszelkiego rodzaju schroniska dla nieszczęśliwych. A przecież zakłady te mają małe dochody, po większej części żyją z jałmużny i ciężko o byt walczyć muszą.

To też były to tylko krokodyle łzy, którymi dzienniki płakały niedawno po odkryciu całego szeregu wypadków maltretowania dzieci, maltretowania takiego, że na jego wspomnienie włosy na głowie stają.

Sztuki piękne.

Z teatru. Że matka o kurzym mózgu, ojciec, nadziany frazesami i brat, szubrawiec, miewają ochotę reparowania swoich finansów bogatem zamęściem siostry i córki, tego nam już mnóstwo pisarzów dowiodło i w książce i na scenie. Że też i córki nie zawsze bywają święte, lecz czasami ulegają niskim popędom fizycznym, to także jest rzecz powszechnie wiadomą — nie wynika stąd jednakże, aby autorowie nowi nie mieli się chwytać tych starych tematów. Póki miłość będzie w literaturze pięknej osią wszelkiego ludzkiego działania, póty także i niewielka liczba możliwych w naszych stosunkach komplikacyj tego uczucia z przepisami etyki i warunków egzystencyi będzie dostarczała jednakich ciągle pomysłów do dramatów i romansów. W nowych dziełach mamy prawo doszukiwać się jedynie nowych ludzi — sprężyny ich ruchów i czynów będą zawsze znane i stare.

„Harpagoni" p. Grabowieckiego, przedstawieni wczoraj po raz pierwszy na lwowskiej scenie są sztuką nową. Autor kazał w niej działać ludziom, pod pewnym względem istotnie nowym. Jestto podupadła materyalnie i moralnie rodzina urzędnicza, płaska i trywialna.

Chociaż typy ojca, matki i brata, a nawet szlachetnej córki są aż zanadto znane, to jednak bije od nich pewna świeżość właśnie dla tego, że nie są to zbankrutowani arystokraci, których tuzinamy oglądamy już od wielu lat na scenie i w powieści, lecz tak zwani mali ludzie, składający się u nas na szary tłum miejski. Mają oni serce czujące głęboko, ale rdza zgryźliwości, wywołanej milionem codziennych małych trosk i kłopotów zjadła je już do połowy. Każde słowo ich obraża, każdy ruch drażni, każde spojrzenie zdaje się być urąganiem, stąd ciągle się z sobą kłócą i co chwila muszą w sobie tłumić uczucia dla dopilnowania rosołu lub zamiecenia izby. Nowy ten portret starych typów jest największą zaletą „Harpagonów".

Drugą zaletą jest figura brata, ostatniego szubrawca, który jednak nie jest czarnym charakterem, stworzony czy to na sposób melodramatyczny stary, czy też na nowy psychologiczny. Jest to inteligencya bystra, umysł logiczny, wykształcony na złych przykładach i tylko do tego celu, aby używać — i serce, które nieuczone, bić mniej ani silniej nigdy nie umiało. Figura ta jest też przez wszystkie trzy akty sztuki z żelazną konsekwencyą przeprowadzona.

Budowa sztuki jest bardzo dobra. Akcya jest jednolitą, stopniuje się równo i kończy naturalnie. Dowodzi to, że autor ma dość szeroki umysł, aby całość objąć jednym rzutem i nierozpraszać się w drobiazgach.

Mimo to „Harpagoni" są zaledwie zapowiedzią, że autor kiedyś będzie mógł dać literaturze rzecz piękną. Zbytnia wierność w odtwarzaniu życia, czyni akcję sceniczną nudną, język, choć poprawny, nie jest barwny dyalog często utyka, wskutek czego na aktorów spada zbyt wielki ciężar wypełniania luk mimiką, a wreszcie osoby działające zjawiają się na scenie bez widocznego powodu, podsłuchując nieraz pod drzwiami. Wszystko to są wady, które usuwać może bardzo łatwa praca i obycie się z techniką sceniczną. Gorzejby było, gdyby było trzeba odmówić p. Grabowieckiemu zmysłu obserwacyjnego i tego nerwu dramatycznego, przy którego pomocy dramaturg ciekawość widza umie trzymać w naprężeniu aż do ostatniej sceny. Spomiędzy scen „Harpagonów" przebijają się oba te przymioty, słusznie więc oklaskiwano ich wczoraj często i gorąco. Autor musiał kilkakrotnie dziękować ze sceny za uznanie.

Gra aktorów była doskonałą, co się też niemało przyczyniło do powodzenia „Harpagonów". P. Wostrowski doskonale zrozumiał typ niegodziwca, którego przedstawiał. Na najdramatyczniejszą rolę, rolę sprzedawanej córki, potrzebowała pani Stachowiczowa tylko małej części swego talentu użyć, a poświęciła go bardzo wiele tak samo jak pp. Gostyński i Ruszkowski, rodzice, sprzedawcy. Pp. Chmieliński, Rybicka i Walewski byli doskonale bezbarwni.

Otrzymujemy następujące pismo: Z okazyi świetnego wystawienia mojej opery „Goplany" poczytuję sobie za najmilszy obowiązek złożyć publicznie najszczersze podziękowanie dyrekcyi teatru hr. Skarbka za sumienne a troskliwe i kosztowne przygotowanie, p. dyrektorowi Jareckiemu, artystkom i artystom opery paniom Camilowej, Kasprowiczowej, Kliszewskiej pannom Bohussównie, Korolewiczównie, Strassernównie, panom Myszudze, Górskiemu i Orzelskiemu, orkiestry i chóru za ich pełną poświęcenia a wybornym skutkiem uwieńczoną pracę. Tylko tak gorliwemu, ofiarnemu i usilnemu współdziałaniu wybitnych polskich sił artystycznych, które dyrekcya teatru hr. Skarbka umiała zgromadzić i dla dobra sztuki polskiej zjednoczyć zawdzięczam, że dzieło moje wywarło pożądane wrażenie i pozyskało uznanie. Za wszystkie dowody sympatyi uznania serdecznie dziękuję.

Władysław Zeleński.

4

Alonzo Clarence i Rosannah Ethelton.

Romans przy telefonie.

Humoreska.

Napisał MARK TWAIN.

Z angielskiego tłumaczył Ot. St.

(Ciąg dalszy).

— O nie, Alonzo.

— Tak jestem szczęśliwy, Rozanno!

— O Alonzo, nikt z tych, którzy szli przedemną, nie wiedział, co to miłość; ani nikt z tych, co pójdą za mną, nie dowie się, co to prawdziwe szczęście. Unoszę się na skrzydłach jasnych obłoków i płynę w nieskończonych przestworzach w zaczarowany świat zachwytu.

— O moja Rozanno; bo wszakże ty moją jesteś, nieprawdaż?

— Całkowicie, o całkowicie twoją, Alonzo, teraz i na wieki. Codziennie, i w nocy nawet jedna pieśń gra w mojej duszy: „Alonzo Fitz Clarence, Eastport, w stanie Maine".

— Niech go licho porwie — zaryczał w duszy Burley — przecież dowiedziałem się jego adresu — i wyleciał z wściekłością w sercu.

Właśnie w tej chwili za plecami Alonza, nic nie przeczuwającego, stała jego matka, przedstawiająca obraz zdziwienia. Tak była zamatulona w futra od stóp do głowy, że oprócz oczu i nosa nic nie dostrzegłeś więcej. Była to wyśmienita allegorya zimy, zwłaszcza, że cała postać była przyprószona śniegiem.

Poza nieprzytomną Rozanną stała znowu ciotka Zuzia, drugi obraz zdziwienia. Tę znowu można było wziąć za allegoryę lata, bo ubrana w lekką suknię, wachlowała się niecierpliwie, chłodząc twarz od upału słonecznego.

Obie te kobiety miały łzy w oczach.

— To tak? — zawołała pani Fitz Clarence — teraz rozumiem, dlaczego przez sześć tygodni niepodobna było wyciągnąć cię z domu, paniczu!

— To tak? — wołała znów ciotka Zuzia — to mi tłumaczy, dlaczego od sześciu tygodni widzę cię taką pustelnicą, wać panno!

Młodzi zerwali się równocześnie na nogi i stali przerażeni jak zbrodniarze przychwyceni na gorącym uczynku.

— Masz moje błogosławieństwo — kochany synu; cieszę się twojem szczęściem; pójdź do serca matczynego, niech cię uścisnę.

— Błogosławię cię, Rozanno, ze względu na mego kochanego siostrzeńca; pójdź w moje objęcia.

Potem nastąpiła scena wylania się serc i zmieszania łez radości, zarówno na „Telegraph Hill" jak na „Eastport Square". W obu miejscowościach zawołano na służbę. Jednym dano rozkaz: dołóż no polan i rozniec ogień, przynieś gorącej limoniady. Drugim rozkazano: zagasić ogień i przynieść wachlarzy z palmowych liści, jakoteż karafkę zimnej wody.

Nareszcie odprawiono młodych i dwie starsze matrony zasiadły do poufnej pogadanki, w której omawiano tę miłą niespodziankę i układano projekta małżeńskie.

Kilka chwil przedtem wyleciał jak wicher pan Burley z gmachu Telegraph Hill; nie dawał się zatrzymać nikomu po drodze, ani odpowiadał wcale na wołanie przechodniów. Miotał sycząc przez zęby przekleństwa i powtarzał z zaciekłością: „Za niego ona nie wyjdzie. To zaprzysiągłem sobie. Pierwej świat cały zapadnie się w otchłań, zanim to nastąpi".

III.

Dwa tygodnie minęły. Co kilka godzin w ostatnich trzech dniach, wpadał z wizytą do Alonza napuszony jakiś, pobożnie wyglądający ksiądz, u którego na pierwszy rzut oka dostrzed można było skałkę w oku. Podług karty wizytowej, którą przysłał przed wizytą, nazywał się Wielebny Melton Hargrave z Cincinnati. Opowiadał, że wyjechał na świeże powietrze, dla poratowania zdrowia, choć temu trudno było uwierzyć, patrząc na jego silną budowę ciała i zdrową cerę. Miał być wynalazcą nowego ulepszonego telefonu i chciał znaleść nabywcę na swój sekret.

— Dziś — mówił — można drutem telegraficznym przesyłać pieśni, a nawet całe koncerta z jednego Stanu do drugiego, a gdy załączysz twój własny telefon możesz po drodze od kraść tę całą muzykę. Mój wynalazek położy kres temu.

— Dobrze — wtrącił Alonzo — ale skoro właściciel muzyki nie straci nic na tem, co zostało odkradzione, to cóż mu na tem może zależeć?

— Powinno mu na tem zależeć — odpowiedział Wielebny.

— A to jak? — zapytał Alonzo ciekawie.

— Przypuść pan — odparł Wielebny — że drut, miasto muzyki, przenosi kochanków najsłodsze czułości, które powinny w najściślejszej tajemnicy pozostać?

Alonzo zadrżał od stóp do głowy.

— Panie, to nieoceniowy wynalazek! — zawołał. — Ja go muszę mieć za każdą cenę.

Lecz wynalazek zatrzymał się gdzieś w nieprzewidziany sposób na drodze z Cincinnati. Zapalonemu kochankowi trudno było czekać. Myśl, że słodką rozmowę z Rozanną, może dzielić z nim jakiś włóczący się opryszek, napełniała go rozpaczą. Wielebny przychodził często; za każdym razem ubolewał nad zwłoką i zapewniał, że porobił starania, aby przyspieszyć posyłkę. To uspokajało nieco Alonza.

Pewnego popołudnia wszedł Wielebny na schody i zapukał do drzwi Alonza. Nie było odpowiedzi. Wszedł więc ostrożnie, obejrzał się naokoło i pospieszył do telefonu. Miękkie i dalekie tony piosnki: „Przybądź kochanie" wydobywały się z aparatu. Piosenka śpiewaną była jak zwykle, z przeciąganiem pięciu zgłosek, gdy nagle Wielebny przerwał ją głosem naśladującym głos Alonza nadając mu odcień niecierpliwości.

— Najdroższa!

— Cóż Alonzo?

— Bądź łaskawa, nie śpiewaj tej dziadowskiej pieśni więcej, śpiewaj coś nowego.

W tej chwili ozwały się szybkie kroki na schodach; Wielebny z szatańskim uśmiechem pospieszył ukryć się w fałdach portjery u okna. Był to Alonzo, który z uszczęśliwieniem w sercu pobiegł do telefonu i rzekł:

— Najdroższa Rozanno, czy nie zaśpiewamy coś razem?

— Coś nowego? — zapytała z sarkazmem w głosie.

— Jak ci się podoba.

— Śpiewaj sobie sam, jeśli chcesz.

Zadąsana ta odpowiedź zdziwiła i zraniła młodzieńca. Rzekł więc.

— Rozanno, ależ ja cię nie poznaję w tej chwili.

— Wyglądam tak samo, jak pan, kiedy mi prawiłeś takie grzeczności, panie Fitz Clarence.

— Panie Fitz Clarence! Co to znaczy, Rozanno, nie powiedziałem ci nic niegrzecznego.

— O naturalnie; więc ja pana nie zrozumiałam i muszę prosić o przebaczenie, ha, ha, ha! Wszak mówiłeś wyraźnie: „nie śpiewaj tej dziadowskiej pieśni więcej".

— Jakiej pieśni?

— No pieśni, którą słyszałeś; ale jak my nagle stali się niepojętni?

— Ja nie mówiłem o żadnej pieśni,

— O mówiłeś.

— Ależ nie mówiłem.

— A ja zmuszoną jestem powtórzyć ci, że mówiłeś.

— A ja najuroczyściej przeczę, jakobym mówił.

— Druga niegrzeczność! To wystarcza, panie, nigdy nie przebaczę ci, wszystko między nami skończyło się.

Słychać było stłumiony płacz.

Alonzo pospieszył uspokajać:

— O droga Rozanno, odwołaj te słowa! Tu zachodzi jakieś fatalne nieporozumienie, to jakaś tajemnica. Mówię zupełnie szczerze i otwarcie, że nie napomknąłem nawet o żadnej piosence. Przecież za skarby świata, nie chciałbym cię zmartwić... Rozanno, serce?... O przemów do mnie chociaż jedno słowo.

Była chwila milczenia; poczem Alonzo słyszał oddalające się szlochania i był pewny, że dziewczę odeszło od telefonu.

Wstał więc ze złamanem sercem i wybiegł z pokoju mówiąc do siebie: „pójdę przeszukam wszystkie miłosierne zakłady i domy ubogich, gdzie mogę spotkać mają matkę, ona sama jest w stanie przekonać ją, że nie byłem wstanie zranić jej serca".

Chwilę później, wysunął się Wielebny z za portjery i krokiem kota, który się rzuca na upatrzoną ofiarę, zbliżył się do telefonu i począł słuchać. Nie długo czekał. Miły głosik skruszony, mówił przez łzy:

— Alonzo drogi winną jestem, przyznaję się. Ty nie mogłeś powiedzieć tak coś okrutnego. To musiał być ktoś inny, który naśladował twój głos, albo przez złość, albo w żarcie.

Wielebny odpowiedział chłodno głosem Alonza:

— Powiedziałaś, że wszystko między nami skończone. Kpię sobie z twojej spóźnionej skruchy i gardzę nią.

(C. d. n.)

ROZMAITOŚCI.

Ereuthophobia. Jeżeli masz przed sobą piękną dziewczynę, spojrzyj jej prosto w oczy i rzeknij z przekonaniem:

— Pani się zarumieni!

A ujrzysz, że oblicze dziewczyny pokryje się purpurą, że zarumieni się aż po białka oczu, choć nie było żadnej po temu poważnej przyczyny. Bo rumieniec, ta najpiękniejsza krasa młodości, zjawia się przy lada zwróceniu uwagi na osobę rumieniącą się i również szybko przechodzi, pozostawiając na pięknej cerze odblaski bladej róży. Dwaj lekarze niemieccy, dr. Pitres i dr. Regis, napisali świeżo rzecz o chorobie, nazwanej przez nich ereuthophobią, której nie należy mięszać z erythrophobią czyli obawą barwy czerwonej. Ereuthophobia — to obawa rumienienia się, obawa stała, polegająca na pewnem lekkiem uczuciu niepokoju, dochodząca niekiedy do wysokiego stopnia rozdrażnienia nerwowego, które z czasem przejść może w hypokondrję, a nawet — o zgrozo! — niekiedy doprowadza do samobójstwa. Chorobie tej podlegają bardzo rzadko kobiety (wiedzą, figlarki, że im z rumieńcem do twarzy!), najczęściej zaś mężczyźni. Indywiduum, dotknięte tą chorobą, ciągle myśli o tem, że rumienić się zwykło bez powodu, a rezultatem tego ciągłego zwracania myśli w jednym kierunku jest — rumienienie się ciągłe na samo wspomnienie tej wady. Powstaje stąd błędne koło — bez wyjścia.

Przy Pitres i Regis wymieniają ośm indywiduów, u których ereuthophobia przybierała rozmiary nadzwyczajne. Byli to przeważnie nerwowi, alkoholicy i chorzy na tuberkuły. Ludzie ci, rumieniący się bardzo łatwo, z czasem wskutek obawy rumieńca stali się nieśmiałymi, uciekali od ludzi, czuli ściskanie serca na samą myśl, że mogliby się w danej chwili zarumienić. Ludzie ci w czasie silnych mrozów i wielkich upałów rumienili się mniej, więcej zaś w czasie pogody dżdżystej i burzliwej. Gdy nadejdzie czas „zaburzeń we krwi", jak lekarze wyżej wymienieni nazywają fakt anormalnie częstego pojawiania się rumieńca, chorzy boją się wychodzić na ulicę, w razie zaś spotkania na ulicy znajomego tracą po prostu panowanie nad sobą, a niekiedy przytomność umysłu.

Każdy z nich stara się ukrywać rumieniec: jeden ściąga kapelusz na oczy, drugi otwiera ciągle parasol, trzeci udaje, że czyta afisze uważnie, czwarty udaje, że ma katar, i ciągle nosi chustkę do nosa przy twarzy, piąty pije ciągle, aby czerwoność oblicza wytłumaczyć pobudzeniem od alkoholu, szósty pudruje się wciąż itp. Dr. Dubourdier przytacza przykład pewnego dwudziestoletniego studenta, cierpiącego na serce, dotkniętego w wysokim stopniu ereuthophobią. Człowiek ten ciągle się rumieni, a przed zarumienieniem się czuje w sercu lekki ból. Po chwili zdaje mu się, że zadusi go kołnierzyk od koszuli. W uszach i w skroniach czuje żywe pulsowanie. Traci przytomność umysłu, nie wie, co mówi, nie zdaje sobie sprawy z tego, co do niego mówią. Chce uciekać i schować się pod ziemię.

Stan taki trwa kilkanaście sekund, poczem spokojność wraca, ale chorego ogarnia silne znużenie, trwające niekiedy parę godzin. Student dra Dubourdiera zaczął się rumienić w szóstym roku życia, a później szyderstwa rodzeństwa, a później kolegów szkolnych wyrobiły w nim obawę rumieńca, przerodzoną następnie w ereuthophobią. Nie szydźcie tedy z rumieniących się łatwo, aby ich nie narażać na cierpienia ereuthophobii. Nie jest to choroba niebezpieczna, ale bądź cobądź przykra i w komplikacyach swoich może stać się niebezpieczną. Jeżeli ktoś z rodziny waszej rumieni się często, nie zwracajcie na to uwagi i nie mówcie mu o tem. Rumieniec nikomu nie szkodzi, a ostatecznie jest dowodem czułości na wrażenia. A jakże smutną i niesympatyczną jest kobieta, która zbyt wcześnie zatraciła zdolność rumienienia się.

Elektryczna kolej podmorska. W Anglii powzięto projekt przeprowadzenia kolei elektrycznej podmorskiej pomiędzy miastem Brighton a wioską Rottingdean. Obie te miejscowości, położone na wybrzeżu południowem Anglii wprost Hawru, należą do najbardziej uczęszczanych kąpieli morskich w Wielkiej Brytanii. Miasto Brighton liczy około 100.000 mieszkańców, a wioska Rottingdean znajduje się w odległości 6 klm. po drugiej stronie małej zatoki, którą w tem miejscu brzeg tworzy. Głębokość tej zatoki podczas odpływu morza jest bardzo nieznaczna, a podczas przypływu wynosi 5·5 do 7·3 m. Dno zatoki jest zupełnie gładkie i na niem właśnie ułożone być mają szyny projektowanej kolei. Druty elektryczne przeciągnięte będą na słupach bardzo wysokich, ponad szynami łączącemi pod wodą oba miasta. Po szynach toczyć się będzie wagon długości 16 m., mogący pomieścić 150 osób. Aby zaś nigdy w wodę się nie pogrążył, osadzony będzie na prętach stalowych, wysokości 10 metrów, których części dolne, zanurzone w wodzie, spoczywać będą na 8 wielkich kołach, toczących się po szynach. Do wprawiania w ruch wagonu służyć będą dwie maszyny dynamoelektryczne, umieszczone w górnej jego części i zostające w połączeniu z drutami, doprowadzającymi prąd elektryczny. Pociąg ma biedz z szybkością 10 klm. na godzinę, na przebieżenie więc całej drogi między Brighton a Rottingdean wystarczy 40 minut niespełna. Nowy ten rodzaj przejazdu po drodze powietrznej, pomiędzy niebem a morzem, zaleca się w zasadzie nowością i zapewne też na [illegible] większej liczby gości kąpieli morskich.

W prawdziwie bezmyślny sposób marnotrawią ludzie pieniądze w Paryżu. Że są tam osobni krawcy, którzy się zajmują szyciem strojów dla pokojowych piesków według „najnowszej mody" — to jest rzeczą znaną. Mniej znanym faktem jest to, że te zwierzęta mają własnych kucharzów, chociaż stół właścicieli tych małych stworzeń jest zawsze obficie zastawiony, aby najwybredniejszy pies mógł się rozsmakować. Doprawdy, że takie wymysły graniczą już z szaleństwem. Świeżo doniesiono z Paryża o modzie nakładania psom na nogi bransolet. Wytresowanego psa zdarza się, że ma na nogach po dwie i po trzy bransolety zdobione klejnotami. Oprócz tego obroży dyamentami jest wysadzona przez właściciela. I na taką najbardziej godną, bezmyślną zabawę Amerykanie wyrzucają tysiące. Każda bransoleta kosztuje do dwóch tysięcy franków, a niejeden bonończyk dźwiga na sobie cały majątek 10 lub 15 tysięcy franków.

„Don Alfonso... mój czwarty mąż!" woła w głosie Lukrecya Borgia w operze tego samego nazwiska. Wspaniały ten rekord małżeński nie godzien już obecnie wzmianki. Wykonano znacznie wspanialszy. W Providence (Rhode-Island) obchodzono niedawno dziwną uroczystość ślubną. Panną młodą była Leonora Linter, jedna z najbogatszych kobiet na owej wyspie, znana daleko i szeroko z oryginalności swoich pomysłów. Pan młody był szóstym z rzędu, który objął honorową posadę u boku [illegible] Linter. Czterej jego poprzednicy byli obecni na ślubnej uroczystości, a nawet służyli za świadków ceremonii, piąty zaś nie mógł ku wielkiemu swemu żalowi — jak sam pisał — pojawić się w kościele, bo go ciężka choroba na łoże bezwładnie powaliła. Tyle tylko mógł zrobić, że przysłał wspaniały dar ślubny.

Wojownicza Leonora zawarła pierwsze śluby przed laty mniej więcej dziesięciu. Wkrótce wyrok rozwodowy uwolnił ją od męża Nr. 1, a tak samo działo się później z małżonkami l. 2, 3, 4 i 5. Okolicznością najpiękniejszą w tem wszystkiem jest to, że wszyscy mężowie bohaterskiej tej kobiety po rozłączeniu się w doskonałych żyją stosunkach ze swoją „byłą", a również między sobą postępują jak najlepsi przyjaciele. I w dodatku żaden z nich nie wszedł z żadną inną kobietą w powtórny związek małżeński! Ładna to historya, ale zanadto po amerykańsku wygląda.

Wędrujące miasta. W dwóch mieścinach na północy kanadyjskiej prowincyi Manitoby położonych, przeżywali niedawno ludzie chwile pełne wzruszeń. Delfińska kolej, która w przyszłości tworzyć będzie część składową drogi żelaznej nad zatoką Hudsonem miała być przedłużoną o odnogę 16 milową na północ od miasteczka Dauphin'u. Odnoga ta jeszcze nie była gotową aż do miasta, ale mieszkańcy jego mieli już prawo spodziewać się, że dostaną stację kolejową. O cztery mile w bok leży miasteczko Gartemore, a jego znowu mieszkańcy sądzili, że mają równie dobre prawo do stacji jak gród Dauphin. Wysłali deputacyę do kierownika pomiarów inżynierskich, a taką samą deputacyę wysłali znowu mieszkańcy Dauphin'u. Kierownik ujrzał się między młotem a kowadłem. Obie deputacye żądały stacyj dla swoich miast. Po krótkim namyśle inżynier poprowadził kolej środkiem między obu miastami. W takim stanie rzeczy Dauphin umiał sobie poradzić. Ustawił domy na walcach i puścił się ku torowi kolejowemu, a że w drodze zaczął śnieg padać, więc podróżne domy wsadzić musiano na łyżwy. Gdy to spostrzegł Gartemore puścił się także w drogę. A środkiem pociągi przebiegały po staremu po torze. Podczas tego ogólnego ruchu życie szło swoim trybem. W wędrującym sklepie sprzedawał kupiec codzień cukier i kawę, którą farmerzy spijali w wędrujących jadalniach. Nakoniec przybyły oba miasta do punktu, w którym miała być stacja wybudowana. Ponieważ mieszkańcy obu miast byli ludźmi rozsądnymi, nie przyszło tedy między nimi do bójki, lecz w pięknej zgodzie postanowili na przyszłość tworzyć razem jedno miasto. Dwóch kościołów było zadużo na niewielką osadę, więc je zsunięto do siebie i stworzono także jeden dom Boży. Trzeba było jednego z pastorów odprawić, więc odprawiono dauphińskiego, a oszczędzone na jego płacy pieniądze wydano na spojenie trwałe obu budynków kościelnych. W zamian za pozbycie się pastora dostał się Dauphin'owi zaszczyt, że nowopowstała osada zatrzymała jego nazwisko. Gartemore znikł z powierzchni ziemi.

O herb królewski. Z Paryża piszą pod dniem 22. bm. Wczoraj pierwsza Izba trybunału cywilnego departamentu Sekwany, złożona z sędziów republikańskich, roztrząsała proces między dwoma pretendentami do korony francuskiej. Książę Franciszek Andegawański, *vulgo* jenerał hiszpański Bourbony Castelvi, oskarża księcia Filipa Orleańskiego, głowę domu Orleańskiego, że nieprawnie używa herbu „Francyi", czyli trzech lilij na tarczy błękitnej, nie przełamanej, gdy tymczasem linia młodsza ma prawo używać tylko tarczy przełamanej, oraz że nieprawnie podpisuje się tylko imieniem „Filip", bo prawo to służy tylko głowom rodzin panujących. On to właśnie, książę Andegaweński (tytuł, który nosił Filip V, wnuk Ludwika XIV, pierwszy król hiszpański z dynastyi Burbonów, w r. 1700) ma być głową linii najstarszej i o uznanie swoich praw, zawierających w sobie ewentualne prawo do korony, zwraca się do sądu republikańskiego! Żądań jego broni adwokat Tézenas; adwokat Limbourg staje w imieniu księcia Orleańskiego, dowodząc, że herb należy do tytułu królewskiego, a ten dostał się Orleanom prawem spadku przez testament hr. Chamborda. Obu chce pogodzić don Karlos, który też wniósł skargę, żądając przyznania sobie tych praw i herbu. Co sąd uczyni? Dowiemy się za tydzień. Prokurator Schigmann oświadczył, że jego zdaniem, herb ten nie należy do rodziny Burbonów, lecz do Francyi, która go zresztą nie używa, bo wraz z konstytucyą republikańską obrała sobie inny; że nikt nie ma prawa go używać, że więc sąd powinien odmówić wyrokowania w tej sprawie.

Moda na afisze? Z Paryża piszą: Moda jest stanowczo na afisze. Piękny afisz pasjonuje dziś paryżan więcej, niż piękny obraz, niż nowa sztuka, a przemyślna reklama uczyniła z każdego rogu ulicy wystawę. Nowa ta sztuka, rozwijając się, uszlachetniała się zarazem; pierwotnie każdy afisz — czy zachęcał ludzi do kupowania nafty, czy perfum, czy musztardy — przedstawiał młodą pannę, ubraną dość pospiesznie i oddającą się przyjemności tańca. Dziś afisz stał się więcej poważnym. Mistrzem tego rodzaju, stworzonego, można powiedzieć, przez artystę Chéreta, jest p. Mucha. Pospieszam wam zaraz powiedzieć, iż pomimo swojego nazwiska, p. Mucha nie jest Polakiem, jest Czechem. Odkryła go Sara Bernhardt, która mu powierzyła zrobienie afisza do „Gismondy"; Mucha zrobił — arcydzieło. Od tej chwili karjera jego była już kwestją czasu; dziś jest sławnym. Kolekcjoniści rujnują się na jego afisze, a są one, właśnie wskutek popytu, bardzo dregie. Najnowsze jego dzieło, „Cztery pory roku", kosztuje 40 franków, co jest dużą sumą za kawałek tapety zwyczajnej. Coraz też więcej i sklepów z afiszami; pomiędzy noworocznemi budami, które jeszcze miejscami trwają, dziesiątki sklepów ze staremi afiszami. W jednej z nich, na samym bulwarze St.-Michel'a, spotykam mojego znajomego dobrego: afisz z wystawy kijowskiej Stachiewicza.

— Ile? — pytam. — 50 centów. To wcale nie drogo. Każę sobie zapakować. — I czy to się sprzedaje? — rzucam kupcowi. — *Beaucoup, beaucoup* — odpowiada mi. I mówi mi, iż miał ze sto i już tylko kilka mu pozostało.

Praczki paryskie. Paryżowi grozi nieszczęście. Bieżącego roku mianowicie może się nie udać karnawałowy tradycyjny pochód, urządzany przez studentów i panie z hal targowych. Praczki grożą strajkiem. Obraziły się uchwałą paryskiej rady miejskiej, która rzeźnikom wyznaczyła 25.000 franków subwencyi na ich „boeufgras", a zgrabnym praczkom na ich pochód tylko 5.000. Przypisują one tę niełaskę rady municypalnej temu, że rzeźnicy są wyborcami, a one „pozbawionymi praw i pogardliwie traktowanymi kobietami". Rada municypalna musiała wydelegować syndyka, któryby zagodził spór z praczkami. Przedstawił on rozgniewanym i nadobnym Paryżankom, że pochód rzeźniczy trwa trzy całe dni, a pochód praczek tylko sześć godzin. Paryż — to się samo przez się rozumie — stanął po stronie tych, z których grona najpiękniejsza wstępuje na tron karnawałowy i odbiera zasłużone hołdy podczas uroczystości. Zdaje się nie ulegać przeto wątpliwości, że „funduszowi praczek" doda rada municypalna trochę krochmalu.

Aluminium ma obecnie służyć we Francyi także do budowania wagonów. Zarząd francuskich kolei państwowych zamówił już pewną liczbę wagonów osobowych, w których części dotychczas wyrabiane z żelaza będą aluminiowe. Naturalnie koła pozostaną stalowe. Tak samo jak osi i jak połączenia między wagonami. Nowe wagony będą o 1.500 klg. lżejsze, co czyni ósmą lub dziesiątą część całego ciężaru wagonu osobowego.

Przyjechali do Lwowa.

Dnia 30 stycznia.

Hotel Żorża. A. hr. Dzieduszycka z Niesłuchowa, K. Wierzchleyski z Stawczan, A. Munter z Waniowa, J. Horodyski z Horodnicy, E. Abrahamowicz z Stryja, dr. T Rubowski z Wiednia.

Hotele K. Janowicza: Bellevue i Metropol we Lwowie. O. hr. Potocki z Piętkowa, N. hr. Potocki z Wiednia, A. br. Sonlioti i M. Condrus z Braiły, M. br. Kruszay z Krakowa, S. i W. Traczewscy z Czernuszowic, G. Meszagos z Krosna, J. Glückstern z Czerniowiec, S. Roszkowski z Warszawy, H. Serets z Przemyślan, A. Leser z Krakowa, H. Selzer i F. Weiss z Wiednia, J. Rosner z Białej, L. Benzdorfer Storoński, W. Jordan z Dziewiędziż, W. Sławiński z Błażowa.